

Duszpasterstwo

4 grudnia 2015

O mafii pruszkowskiej oraz jej powiązaniach z klerem i politykami rozmawiamy z Jarosławem „Masą” Sokołowskim, najsłynniejszym polskim świadkiem koronnym i autorem książek o grupie z Pruszkowa.

– Jak wygląda życie świadka koronnego? Ciągły stres, obawa o życie?

– Czy ja wyglądam na zestresowanego? (śmiej)

– Nie, ale Czytelnicy tego nie zobaczą...

– Żyję swoim życiem, prowadzę interesy, mam bardzo dobrą ochronę. Pilnują mnie, ale robię co chcę. Jestem wolnym człowiekiem.

– Utrzymuje pan kontakt z dawnymi kompanami?

– Nie, ale dostaję od nich sygnały, że dobrze zrobiłem, że moje miejsce jest przy ich stole, słowem podlizują się. Ale zapomnieli o jednym – o przeprosinach. Dlatego nie rozmawiam z nimi. A nawet gdyby przeprosili, to i tak nie byłoby głębszych kontaktów, bo zabili mojego przyjaciela, Pershinga. I tego im nie daruję.

– Niektórzy zarzucają panu, że ma pan parcie na szkło, chce być celebrytą. Stąd te książki, wywiady.

– Celebrytą to ja byłem w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy chodziłem na rauty z politykami i światem pierwszoplanowego biznesu. Teraz udzielam wywiadów, bo to część akcji promocyjnej mojej książki. Nie chcę się pokazać czy zaistnieć, mam to w dupie. Z przerażeniem obserwuję tylko, że ja piszę ku przestrodze, a ludzie reagują uwielbieniem dla gangsterów. Zwłaszcza młodzi, którzy nie pamiętają tamtych czasów.

– Jak wytłumaczyłby pan, czym jest mafia pruszkowska, człowiekowi, który o niej nigdy nie słyszał?

– Jednym słowem? Gangrena.

– Wyleczona na zawsze czy możemy spodziewać się nawrotu choroby?

– Można powiedzieć, że to zaleczona epidemia. Wszystko zależy od rezolucyjności naszej policji. Bo funkcjonariusze jakby teraz odpuścili, a te struktury się odbudowują. Na wolności są Słowik, Wańka, Malizna, Kaban i już hulają. Z tego, co wiem, przejechali się po Polsce i odnawiają kontakty.

– Mają szanse na powodzenie?

– Na pewno nie na taką skalę jak w najlepszych czasach. To są już zgrane karty, choć panowie mają duże ambicje. Na razie siedzą w paliwach, a policja i służby nic z tym nie robią. Jakby zasnęli.

– Nie widzą, a może nie chcą widzieć?

– Nie wiem. Teraz ważniejsze są rozgrywki polityczne, więc może tym się zajmują. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że ci narwańcy z PiS pozamiatają trochę w tej kwestii. To, co Platforma Obywatelska zrobiła z wymiarem sprawiedliwości, jest chore. Może jak wezmą za mordę tych sędziów, to coś się poprawi. Bo sędziowie – nie wszyscy oczywiście – są nie lepsi od adwokatów. Zresztą spotykają się na raucikach, bankietach, dają prezenty i włożą sobie w dupę. To jest jednak klika. Niezawisłe sądy, k..wa ich mać!

– Raczej ciężko wyplenić te patologie.

– Ale trzeba. Przecież sędziowie, którzy uniewinniają grupę pruszkowską, mówiąc, że to są teraz inni ludzie, sami powinni trafić na ławę oskarżonych. Przecież ci skazani w większości wrócą na drogę przestępczą.

– Nie wierzy pan w resocjalizację?

– Owszem, część się zresocjalizowała, nawet ludzie z zarządu. Na przykład Kaban, wyszedł z pudła i poszedł w swoją stronę. Na początku nawet polatał z dawnymi znajomymi, ale potem od nich odbił.

– Mafia miała ogromne zyski, niewyobrażalne dla przeciętnego człowieka. Co się stało z tymi pieniędzmi?

– Pruszkowiaci mają gdzieś pochowane te pieniądze, ale sporo stracili. „Wakacje” były dla nich kosztowne. Wymiar sprawiedliwości strasznie ich zubożył. Nie mogli zarabiać, a musieli wydawać. Szumnie zapowiadano, że całe pieniądze zostaną im zabrane, ale na zapowiedziach się skończyło. Prokurator Sawicka ogłaszała, że puści bandziorów w skarpetkach, a sama okazała się nie do końca czysta.

– W swojej książce stwierdza pan, że nikt się nie rodzi zły. Jak rozpoczęła się pańska „kariera”?

– Wie pan, ja jestem teraz zupełnie innym człowiekiem, moja transformacja jest zupełna. I strasznie mnie drażnią te wszystkie patologie, o których mówię.

– Kiedyś pan się w nich pławił...

– Ba! Pławiłem i korzystałem, i śmiałem się wymiarowi sprawiedliwości w pysk. No ale sytuacja się odwróciła.

– Więc jakie były pana początki w mafii?

– Po prostu: urodziłem się w Pruszkowie. To było miasto przesiąknięte patologią jak chyba żadne inne w Polsce. Nawet była kiedyś taka zasada, że jak ktoś z Pruszkowa coś przeskrobał, to dostawał z automatu dwa lata więcej. Nie miałem innej możliwości zarobienia pieniędzy. Mogłem być albo kierowcą tira, albo ćwiczyć i stawać na bramce w klubach. Wybrałem to drugie. A wiadomo – jak bramka, to i miasto, bo trzeba mieć znajomości. Tak się złożyło, że załapałem się na

ten szalony czas lat 90. I tak to poszło.

– Jest pan wierzący?

– Tak, ale niepraktykujący. Ogólnie wiara kłóci mi się z rozumem i nie klei z nauką, ale mam spory bagaż doświadczeń i nieraz „jak trwoga, to do Boga”. Jak mam doła, to mi pomaga. Chociaż wiem, że patrząc racjonalnie, to są bzdury. Wychowany jestem w rodzinie katolickiej, ale jak patrzę na tych obłudnych ch..ów w sutannach, to rzygać mi się chce.

– Udawało się godzić wiarę z przestępstwami?

– Dekalog jest dla mnie niczym, liczy się prawo. Nie kieruję się Dekalogiem.

– A przesady? Gdy szukaliście ciała kolegi, zaangażowaliście ponoć jasnowidza.

– Niestety, Pershing w to wierzył. Kumplował się z Jackowskim. Ten niby jasnowidz mu powiedział, że będzie żył sto dwa lata i umrze w łóżku. Pershing święcie w to wierzył i nie bardzo dbał o swoje bezpieczeństwo. Poniekąd więc zginął przez wróżbitę.

– Inni też wierzyli w takie rzeczy?

– Spora grupa. To nie byli racjonalni ludzie.

– A jak układały się relacje Pruszkowa z Kościołem? Można w ogóle mówić o jakichś kontaktach?

– Kontakty były. Sprzedaliśmy przecież ponad 300 fur warszawskiej kurii.

– Mam rozumieć, że kurialiści mieli świadomość, od kogo kupują?

– Pewnie! Wiedzieli, od kogo, i wiedzieli, że kradzione. Zresztą mówiliśmy im, że to jest wersja samochodów, którą można poruszać się tylko do granicy z Niemcami, dalej lepiej się nie zapuszczać (śmiech). Z Kościołem lody na gruntach

kręcił Stasiek Marzec. On jechał naprawdę grubo. My – oprócz tych samochodów – mieliśmy jeszcze akcję z obrazami.

– Co to były za obrazy?

– Kolekcja Potockich. Mieliśmy to sprzedać. Pośrednikiem był biskup z Krakowa. Jak tam pojechaliśmy, w sumie nie wiedzieliśmy, jak się do niego zwracać, „ekscelencjo” czy jak? A on zaczął z nami nawijać, jakby grypsował! Potem aż sprawdziłem na zdjęciach, czy to naprawdę był biskup. I jednak był.

– Funkcjonuje w hierarchii do dzisiaj?

– Nie mam pojęcia. Nawet nie pamiętam, jak się nazywa. Dla nas to był epizod. My byliśmy podjarani, bo jak pokazaliśmy te obrazy antykwariuszom, to mało się nie pospuszczali. Van Gogh, Renoir, same wielkie nazwiska. Chociaż nie obchodziliśmy się z tą kolekcją zbyt ostrożnie. Kiełbasie na przykład wylała się coca-cola na Degasa. Nie byliśmy koneserami sztuki, tylko pieniędzy.

– Sporo działaliście na Pomorzu. Tamtejsi duchowni również obracali się w towarzystwie gangsterów?

– To chyba za mocno powiedziane. Ale na przykład ksiądz prałat Jankowski kupował moje auta. Wszystkie rodziny motoryzacyjne, które sprowadzaliśmy, trafiały do Jankowskiego. Lubił luksusowe rzeczy.

– Utrzymywaliście kontakty towarzyskie?

– Nie. Rozmawiał z nami, ale bez spoufalania, w przeciwieństwie do tego z Krakowa. Z prałatem flaszki nie wypiliśmy. Z Gdańska jest też abp Gocłowski, który usunął dąb z alei zasłużonych, żeby można tam było pochować Nikosia. Wziął za to coś około 50 tysięcy.

– Jak wyglądała wasza grupa od środka?

– To nie byli lotni ludzie. Przede wszystkim robili za dużo hałasu. Megalomani. Jak się spotykali i popili – a biesiady to był chleb powszedni – to trajkotali bardziej niż przekupki na bazarze. Jeden drugiego przekrzykiwał i chwalił się dokonaniami. W tym szaleństwie była też pewna metoda. Ten huk i krzyk tworzył legendę wokół grupy. Ludzie na hasło „Pruszków” obsrywali się i wypłacali pieniądze.

– W swoich zachowaniach wzorowaliście się na kinowych przedstawieniach mafii, np. w „Ojcu Chrzestnym”?

– Te filmy się oglądało, ale nie miało to chyba większego wpływu. Podstawą była znajomość grypsery, bo podwaliny świata przestępczego to są więzienia. Te zasady „miasta” z upływem lat się zmieniały.

– Na lepsze czy gorsze?

– Gorsze. Jeszcze w latach 1980. trzymałem się wyznaczonych zasad. W latach 1990. panowała jedna reguła – rację ma zawsze silniejszy. Generalną zasadą był brak zasad.

– Czyli „gangster z zasadami” to tylko mit popkulturowy.

– Zdecydowanie. Jak byłem młody, to patrzyłem na starą pruszkowską ekipę z uwielbieniem – jacy mądrzy, bogaci, odważni. Ale gdy wszedłem w to środowisko, bardzo się rozczarowałem. Zobaczyłem, że to jest świat pełen gówna, bez zasad, że zachowują się obrzydliwie.

– Jest pan obecny w internecie, na „Facebooku”. I to aktywnie. Nie szkoda czasu na pyskówki z hejterami?

– Czasem jak się nudzę, to przynajmniej mam rozrywkę (śmiech). Ale tych internetowych napinaczy jest coraz mniej. Zresztą – cokolwiek bym zrobił i jakikolwiek był, to zawsze się znajdą tacy, którym to nie przypasuje. Teraz jestem dla nich konfidentem. Ale gdybym poszedł w drugą stronę i odsiedział swoje, to byłbym bandziorem. Jeden ch..., czy gadają tak, czy

tak.

– Nie brakuje panu czasem wrażeń i adrenaliny z czasów pruszkowskich?

– Absolutnie nie! Adrenaliny miałem w życiu aż nadto. Całą dekadę byłem na świeczniku, następną dekadę zeznawałem. Stresowałem się wówczas, czy wszystko uda się do końca doprowadzić i wsadzić za kratki kogo trzeba.

– Mówi pan czasem, że Pruszków był silny, ale byli silniejsi. Czyli kto?

– Mafia państwowa, ludzie WSI. Oni mogli zrobić wszystko, pozamiatać nas w sekundę. Dziś mają swoje biznesy i żyją jak pączki w maśle.

Z Jarosławem „Masą” Sokołowskim rozmawiał Łukasz Piotrowicz

Źródło: FaktyiMity.pl